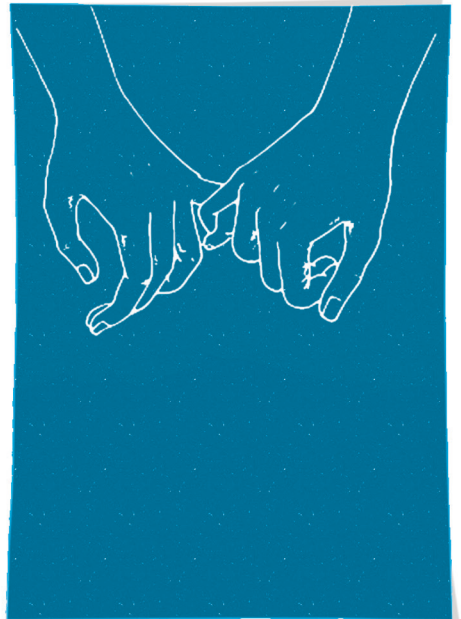
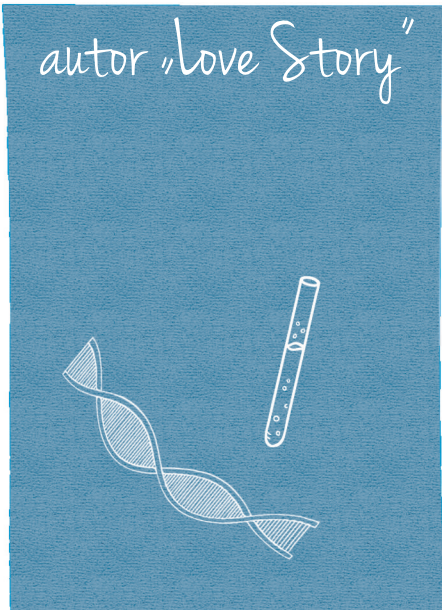




Erich Segal



PROLOG

*Jeśli choroba wkracza w ostateczne stadium,
Lekarz stosuje ostateczne środki
Lub zgola żadnych.*

„Hamlet”, akt IV, scena 5
(przełożył Stanisław Barańczak)

Szef umierał.

Tracił na wadze, stawał się coraz bledszy i chudszy. Najdłuższy nawet sen nie wzmacniał uchodzących sił.

— Skipper* — zwrócił się do najbliższego mu człowieka — ten Boyd Penrose to wredny łgarz.

— Daj spokój. Chyba nie bez powodu jest lekarzem w Białym Domu.

— Słuchaj, ja umieram i dobrze o tym wiem.

— Ależ...

— Tak jest, do cholery. Mroźny czarny wichur hula mi w piersi. Kiedy zostaję sam w sypialni, słyszę nawet szum skrzydeł anioła śmierci.

— Wezwę Penrose'a.

— Nie. Jeżeli ja nie mogę wydusić z niego diagnozy, nikomu to się nie uda.

— Weźmiemy go w dwa ognie. Nam obojgu się nie wykręci.

Trzy kwadranse później w urządzonej po królewsku sypialni stanął się straszliwie zmięty Penrose. Wyciągnięty jak struna,

* Skipper (ang.) — szyper, kapitan.

z zaciśniętymi wargami, zupełnie nie wyglądał na admirała Marynarki Wojennej.

— Pan dzwonił? — W tonie lekarza dźwięczało tyle sarkazmu, ile tylko odważył się okazać swemu potężnemu pacjentowi.

— Siadaj, ty wredny znachorze — warknął chory.

Admirał usłuchał.

— Puść farbę, Boyd. Coś ukrywasz. Rzeczywiście jest w takim fatalnym stanie, że ty nie masz dość jaj, żeby o tym głośno powiedzieć?

Penrose czuł, że zapędzono go w kozi róg. Westchnął i pochylił głowę.

— Skip, Bóg jeden wie, jak ciężko mi o tym mówić. — Zebrał całą odwagę, by wydobyć z siebie głos. — Ma mięśniaka limfatycznego. To bardzo złośliwy rak.

Byli tak wstrząśnięci, że zaniemówili.

— No dobra, zanim obstalujemy trumnę — odezwał się pacjent, usiłując brawurą pokryć strach — chciałbym wiedzieć, w jakie paskudztwo wdepnąłem. — Odwrócił się w stronę lekarza i zapytał: — Jaką mam szansę na wyzdrowienie?

— Właśnie w tym rzecz, Szefie — odparł Penrose. — Nie da się z tego wywinąć.

Znowu zapadło milczenie.

— Ile czasu jeszcze mi zostało?

— Pięć, góra sześć miesięcy.

— Wspaniale. Jeśli będę miał szczęście, zdążę się jeszcze załapać na prezenty gwiazdkowe. Skip, bądź człowiekiem i nalej mi jacka danielsa. Dla siebie i Penrose'a także.

— Nie, wykluczone — zaprotestował doktor.

— Wypij, Boyd, do jasnej cholery. Na razie jeszcze ja tu rządzę.

Admirał usłuchał.

Twarz Skippera przybrała szary odcień.

— Nic z tego nie rozumiem. Dlaczego wy, łapiduchy, tak biernie do tego podchodzicie? Można chyba jakoś walczyć z tym draństwem.

Znowu popatrzyli bacznie na doktora, który wyjaśnił:

— W rzeczywistości trzy różne laboratoria, na Harvardzie, w Stanford i Rockefellera, prowadzą doświadczenia nad lekami, które mogłyby leczyć to świństwo. Ale dużo wody upłynie, nim zostaną zatwierdzone przez Instytut Leków.

— Pierdol formalności, Boyd — odezwał się stanowczo Szef. — Biały Dom wszystko mi załatwi.

— Nie chodzi tylko o możliwość zdobycia tych preparatów. Wiem, że z tym nie miałbyś najmniejszych problemów, ale nawet gdybyś nimi dysponował, i tak pozostałaby kwestia wyboru, o ile w ogóle, najskuteczniejszego środka. Wszystkie mogłyby się okazać nic niewarte. A nawet gdybyśmy przypadkowo natrafili na ten najlepszy, i tak nie byłoby wiadomo, jaką dawkę zastosować. Moglibyśmy cię wykończyć.

— W porządku. Spróbujmy iść na całość. Gdyby przyszło ci decydować, co byś zaryzykował?

Na twarz Penrose'a stopniowo powracał rumieniec, chyba dlatego, że wreszcie mógł zacząć działać.

— Zadzwońbym do paru najlepszych fachmanów i zachowując pełną anonimowość, zapytałbym ich, jakie są względne zalety każdego z tych trzech preparatów.

— Świetny pomysł. Dlaczego nie zacząć od razu? Skorzystaj z gabinetu Szefa. Telefon nie jest na podsłuchu. Zdobądź potrzebne nam informacje.

Po wyjściu admirała pacjent poprosił:

— Skipper, bądź człowiekiem i nalej mi jeszcze tego bimbru. I włącz telewizor.

Penrose wrócił za niespełna godzinę.

— Nie mogę w to uwierzyć — mamrotał, kręcąc głową.

— Co cię tak dziwi?

— Wszyscy ci faceci na pierwszym miejscu wymieniali Maxa Rudolpha, immunologa z Harvardu, który wyhodował te specjalne myszy.

— Myszy? — spytał z irytacją chory. — A co, do diabła, myszy mają wspólnego z moim cholernym życiem?

Penrose spojrział swemu pacjentowi prosto w oczy i powiedział łagodnie:

— Mogą je uratować.

1

Adam

Max Rudolph siedział samotnie w ciemnym laboratorium, znajdującym się na poddaszu budynku Wydziału Medycznego Uniwersytetu Harvarda. Wpatrując się w aksamitne niebo, oczekiwał pierwszych oznak brzasku nad Charles River.

Otrzymał informację, że krew i inne próbki tkanek zostaną dostarczone punktualnie o szóstej rano. Zjawił się wcześniej, by mieć pewność, że żaden z jego gorliwych pracowników, spędzających na przeprowadzaniu badań całe noce, nie będzie w laboratorium, gdy przybędzie kurier.

Z jednym tylko wyjątkiem: swemu podopiecznemu, Adamowi Coopersmithowi polecił, by spotkał się z nim o piątej rano.

Z wyglądu stanowili niedobraną parę — Max, po sześćdziesiątce, niski, niemal łysy, w okularach; Adam, wysoki, żylasty, z grzywą kasztanowych włosów, o oczach spoglądających mimo ukończonych dwudziestu ośmiu lat tak niewinnie, że aż budziło to zakłopotanie.

— Max, wyciągnąłeś mnie z sali operacyjnej. Mam nadzieję, że sprawa jest naprawdę ważna.

— Owszem — oznajmił jego mistrz.

— Przez telefon byłeś bardzo tajemniczy. Co się, do cholery, dzieje?

— Młodzińcze — Max zwrócił się z powagą do Adama — po raz pierwszy w całej naszej karierze zawodowej jesteśmy zmuszeni postąpić nieetycznie.

— Czy ja się przypadkiem nie przesłyszałem? I to mówi człowiek, który biegnie za listonoszem, jeśli zapomni on pobrać stosowną opłatę? — Adam nie krył zaskoczenia.

— Chodzi o życie — stwierdził z powagą starszy mężczyzna. — Na pewne formalności trzeba będzie przymknąć oko.

— Nigdy tego nie robiłeś.

— Tak, ale też nigdy moim pacjentem nie był prezydent Stanów Zjednoczonych.

— Co?!

— Admirał Penrose zadzwonił do mnie z Białego Domu w sprawie pacjenta, którego określił jedynie jako „ważną osobistość w Waszyngtonie”. Prosił, żeby o nic więcej go nie pytać.

Max zreferował Adamowi słowo w słowo rozmowę z waszyngtońskim lekarzem, nie kryjąc trudnego zadania, jakie im powierzono.

— Boże, to ogromna odpowiedzialność.

— Wiem, i właśnie dlatego chciałem się nią z kimś podzielić.

— I pewnie się spodziewasz, że będę ci za to wdzięczny? — uśmiechnął się Adam.

Ich rozmowę przerwał zgrzytliwy dźwięk, dobiegający z końca korytarza. Patrzyli w milczeniu, jak otwierają się drzwi windy i wyłania się z nich, niczym nocne widmo, stwór odziany w czarną skórzaną kurtkę. W jednej ręce niósł kask, a w drugiej pudełko wielkości skrzynki na cygara.

— Doktor Rudolph? — spytał przytłumionym głosem.

— Zgadza się.

— Ma pan jakiś dowód tożsamości?

Max wyciągnął portfel i pokazał kurierowi prawo jazdy.

Posłaniec obrzucił dokument badawczym wzrokiem, wręczył przesyłkę i pośpiesznie zniknął w mroku. Dwaj naukowcy wymienili spojrzenia.

— Przecież godzina duchów już minęła — wyszeptał Max. — Zabierajmy się do roboty.

Z wolna ruszyli korytarzem, który stanowił istny tor przeszkód. Był bowiem zastawiony skrzynkami suchego lodu, wirówkami z chłodzeniem oraz zbiornikami azotu, helu i tlenu, poustawianymi bez ładu i składu, niczym wielkie metalowe kęgle.

Adam zapalił światło w pokoju od podłogi po sufit wypełnionym klatkami z myszami. Zwierzątka biegały tam i z powrotem, pozostając w błogiej nieświadomości swych wyjątkowych cech.

Kiedy przetoczy się im ludzką krew i wszczepi tkanki, ich organizmy staną się kopią organizmów dawców. Oznacza to, że reakcje myszy na wszelkie zabiegi, jakim zostaną poddane, będą stanowiły zminiaturyzowane, lecz wierne odbicie procesów, jakie zaszłyby u człowieka.

— No, dobra, Adamie, mamy trzy możliwości. Te środki mogą wyleczyć, zabić albo w ogóle nie zadziałać. Co proponujesz?

— Utworzymy cztery grupy po sześć myszy w każdej. Wstrzykniemy im krew pacjenta, a potem każdą grupę będziemy leczyć inną dawką preparatu. Czwarta grupa oczywiście dostanie placebo.

— Ale wszystkie otrzymają porządne porcje smacznego sera — przypomniał Max.

— Jak zawsze ujmujesz się za uciśnionymi. — Adam błysnął zębami w uśmiechu.

O wpół do ósmej, gdy zaczął się schodzić personel pracujący w dzień, uporali się już z jedną trzecią myszy. By nie wzbudzać podejrzeń, temat oznaczony symbolem AC/1068/24 przekazali technikom, którzy zwykle wykonywali tego rodzaju przyziemne czynności.

Adam zadzwonił na oddział położniczy. Słuchał chwilę, a potem oznajmił z wyraźną przyjemnością:

— Wszystko w porządku, ponad cztery kilo.

— Szczęściarze — mruknął profesor.

Gdy zjeżdżali windą, pozwolił sobie na luksus ziewnięcia.

— Wpadniemy do tego naleśnikowego rajy, zanim pójdziemy spać?

— Nie rób mi tego — zaprotestował Adam. — Obiecałem Lisł, że będę pilnował poziomu twojego cholesterolu.

— Ale w tej chwili jesteśmy naukowymi wyrzutkami. — Max się roześmiał. — Czy podeksytowany staruszek nie może ukoić nerwów za pomocą paru blinów ze śmietaną?

— Nie. Etyka to jedno, ale nie chciałbym stracić najlepszego przyjaciela przez naleśnik ociekający lipidami.

— No dobrze. — Max westchnął z emfazą. — By uspokoić twoje sumienie, zjem je z margaryną.

. . .

Dwa tygodnie wlokły się niemiłosiernie długo. Co wieczór dwaj mężczyźni spotykali się w laboratorium, by wysłuchać telefonicznej reprimendy z ust admirała Penrose'a. Rosnące napięcie w jego głosie odzwierciedlało potęgujący się w Waszyngtonie strach.

W pewnym momencie tyrada Penrose'a stała się tak głośna i zjadliwa, że Adam chwycił słuchawkę i wycedził:

— Admirale, niech pan, do cholery, wytłumaczy swemu pacjentowi, że te myszy w bardzo dosłownym sensie odgrywają rolę jego dublerów.

— On o tym wie — odparł zdenerwowany admirał.

— Więc może doceni fakt, że dzięki nim trzymamy się od niego z daleka. — Odczekał, by uzyskać należyty efekt, po czym ciągnął cicho: — Wszystkie myszy Rockefellera zdechły wczoraj w nocy.

— Wszystkie? — spytał Penrose drżącym głosem.

— Niestety. Zgodzi się pan, że dobrze się stało, iż nie spotkało to prezydenta.

Penrose zawahał się.

— Ma pan rację — przyznał po chwili. — Co pańskim zdaniem mam mu powiedzieć?

— Prawdę — odparł Adam. — Tylko niech mu pan też przypomni, że mamy jeszcze w lufie dwie kule. Dobranoc, panie admirale.

Odwiesił słuchawkę i spojrzał na swego mistrza.

— No i jak, Max?

— Wspaniale, doktorze. Zrobił pan na mnie wrażenie. A teraz wpiszmy ostatnie wyniki do dziennika.

— W porządku. Niech pan wraca do domu, bo żona na pewno umiera już z niepokojem. Wprowadzę te nieszczęsne nekrologi do komputera.

Starszy mężczyzna skinął potakująco głową.

— W takim razie nie odwalę mojej działki tego nudziarstwa, lecz z wdzięcznością zdam się na twój niezwykły zapal do pracy. A nawiasem mówiąc, dlaczego uważasz, że Lisl się o mnie niepokoi?

— Taką ma rolę — odrzekł Adam. — Powtarzała mi setki razy: „Mój mąż martwi się o cały świat, a ja martwię się o mojego męża”.

Max uśmiechnął się, postawił kołnierz płaszcza i ciężkim krokiem z wolna ruszył korytarzem.

Adam z nieoczekiwanym uczuciem smutku śledził wzrokiem oddalającą się sylwetkę. Jest taki drobny i kruchy, myślał. Gdybym mógł oddać mu część mojej młodości...

2

Isabel

DZIENNIK ISABEL

16 listopada

Nazywam się Isabel da Costa. Mam cztery lata, mieszkam z rodzicami i starszym bratem Peterem w Clairemont Mesa w Kalifornii. Mniej więcej przed rokiem mama i tata zorientowali się, że umiem czytać. To ich bardzo poruszyło i zabierali mnie do różnych ludzi, którzy dawali mi najrozmaitsze rzeczy do czytania.

Wolałabym, żeby tak się nie stało, ponieważ Peter nie chce się już ze mną bawić. Może jeśli będę pisała ten dziennik w tajemnicy, znowu mnie polubi.

Na razie przeważnie bawię się sama, wymyślam różne historyjki — i zastanawiam się. Na przykład jedna linijka w tej piosence „Błyszcz, gwiazdeczko” naprawdę sprawia mi kłopot. Bo pyta „Pragnę wiedzieć, jaką jesteś”, ale nie daje odpowiedzi.

Potem mój tato, który jest bardzo mądry, wytłumaczył mi, że gwiazdy to wielkie, gorące, rozjarzone kule wypełnione gazem. Są od nas tak daleko, że wyglądają jak małe światełka. A choć światło przenosi się z większą prędkością niż cokolwiek innego na świecie, mogą minąć długie lata, nim do nas dotrze.

Chciałabym wiedzieć więcej. Tato obiecał, że opowie mi o systemie słonecznym — jeśli wyjdę z dołu w piasku i umyję ręce przed jedzeniem.

Na deser był mój ulubiony budyn czekoladowy.

Niedorozwój umysłowy to straszne nieszczęście. Niewielu ludzi zdaje sobie jednak sprawę, na jakie udręki narażony jest geniusz. Isabel da Costa dobrze je poznała.

Nic w życiu rodziców nie zapowiadało, że ich dziecko pewnego dnia zostanie nazwane „żeńskim Einsteinem”. Prawdę mówiąc, ojciec Isabel, Raymond, dwukrotnie oblał egzamin doktorski na Wydziale Fizyki Uniwersytetu San Diego.

Jednakże w dowód uznania dla jego niesłabnącego entuzjazmu uniwersytet zaoferował mu posadę pracownika technicznego — jako młodszy inżynier przygotowywał aparaturę do wykładów i eksperymentów.

Nie o takiej karierze Raymond marzył, ale przynajmniej miał stały dostęp do laboratorium uniwersyteckiego. Pracował w nim z ogromnym zapałem i wkrótce stał się niezastąpiony. W nagrodę otrzymał Muriel Haverstock.

Pewnego dnia ta pulchniutka, tryskająca energią bruneteczka zwróciła się do Raymonda o pomoc. Studiowała muzykę i odczuwała powszechny u kobiet lęk przed naukami ścisłymi.

— Błagam pana, panie D. — prosiła przysadzystego, rudowłosego kierownika laboratorium. — Muszę zaliczyć ten kurs, żeby skończyć studia, a jeśli pan mi nie pomoże, nigdy nie uruchomię tego oscyloskopu.

Gdy Ray wreszcie nauczył ją, jak mierzyć rezonans obwodów RLC, był już „pograżony”.

Kiedy zadzwieczał dzwonek obwieszczający koniec zajęć, zebrał się na odwagę i zaprosił ją na kawę.

— Chętnie — odparła. — Jeśli może pan poczekać, aż skończymy próbę.

Serce mu zabiło.

— Z wielką chęcią.

— Gdyby zjawił się pan na sali koło wpół do ósmej, udałoby się panu wysłuchać jeszcze trochę naszych zgrzytów i sapań.

Raymond przybył wcześniej i usiadł z tyłu sali, patrząc, jak Edmundo Zimmer dyryguje *Koncertem na dwoje skrzypiec d-moll* Bacha. Ku jego zdziwieniu Muriel spotkał zaszczyt towarzyszenia pierwszej skrzypaczce we wspaniałym duecie w części largo.

— Właściwie miałam zamiar studiować anglistykę — wyjaśniała przy kolacji — ale kiedy znalazłam się w orkiestrze, Ed-

mundo całkowicie nawrócił mnie na muzykę. Ma tyle uroku, nawet nie jest zgorzkniały z powodu wypadku.

— Co mu się stało? — zapytał Raymond. — Zauważyłem tylko, że ma trochę sztywne ramiona.

— Pochodzi z Argentyny, gdzie zapowiadał się jako bardzo utalentowany wiolonczelista, póki nie przydarzył mu się wypadek samochodowy. Poleciał na tablicę rozdzielczą i od tamtego czasu ma sparaliżowane oba przedramiona. Może muzykować, jedynie dyrygując naszą zbieraniną amatorów. Podziwiam jego siłę ducha.

Gdy się lepiej poznali, Raymond wyjawiał, że zaznał już goręczy porażki naukowej i że nigdy nie wzniesie się ponad swą obecną pozycję.

O dziwo, Muriel podziwiała go tym goręcej. Wydawało się jej bowiem, że Raymond przyjął swe zawodowe rozczarowanie z podobną mocą charakteru co Edmundo.

Pobrali się.

A potem żyli długo i nieszczęśliwie.

. . .

Po uzyskaniu dyplomu Muriel uczyła muzyki w szkole w Hannover oraz dalej grała w orkiestrze, póki jej pierwsza ciąża nie stała się bardzo widoczna.

Dziesiątego lipca 1967 roku Raymond da Costa został dumnym ojcem syna, któremu już zaczęły wyrastać rude kosmyki, takie same jak u jego rodziciela. Raymond poprzysiągł sobie, że Peter będzie miał to wszystko, czego jemu brakowało w okresie dorastania. I wyszukiwał w bibliotekach wszelkie dostępne książki na temat możliwości rozbudzania inteligencji dziecka.

Muriel cieszyła się, że mąż tyle uwagi poświęca małemu, dopóki nie dostrzegła odwrotnej strony medalu.

— Raymondzie, na miłość boską, co to za przerażający dokument? — wykrzyknęła, przypadkowo natrafiwszy na notatnik laboratoryjny, zawierający szczegółowo prowadzony, codzienny zapis rozwoju intelektualnego ich syna.

Lub, zdaniem ojca, jego niedostatków.

Raymond nie miał zamiaru niczego wyjaśniać.

— Muriel, chciałbym poddać Petera testom psychologicznym. Obawiam się, że nie w pełni wykorzystuje swoje możliwości.

— Ależ on ma dopiero dwa lata — napomniała męża. — Czym się ma zajmować, na miłość boską? Fizyką nuklearną?

Odpowiedział jej tak surowo, że poczuła się zbита z tropu.

— Nie, ale mógłby wykonywać jakieś proste zadanie matematyczne za pomocą kolorowych klocków. Nie byłoby w tym niczego nadzwyczajnego. Szczerze mówiąc, Muriel, obawiam się, że Peter nie jest geniuszem.

— No i co z tego? To słodki, kochany dzieciak. Myślisz, że kochałabym cię bardziej, gdybyś był profesorem fizyki w Princeton?

Spojrzał jej prosto w oczy.

— Tak — odparł.

. . .

Muriel doszła do wniosku, że Raymond mniej uwagi poświęcałby rozwojowi umysłowemu Petera, gdyby mieli jeszcze jedno dziecko.

Gdy o tym wspomniała, zareagował takim wybuchem radości, że następnego dnia wrócił z laboratorium z elegancko opakowaną paczuszką, w której znajdował się termometr do określania terminu owulacji. Jego entuzjazm wobec nowego eksperymentu rósł z każdym dniem, a z żoną kochał się z takim zapałem jak na początku ich małżeństwa.

Wkrótce oznajmiła mu, że jest w ciąży.

Był czuły i troskliwy. Nic nie stanowiło dla niego zbyt dużego wysiłku, przetrząsał wszystkie sklepy ze zdrową żywnością w poszukiwaniu witamin, chodził z żoną do lekarza na wszystkie umówione wizyty, pomagał wykonywać ćwiczenia — co do jednego — i uspokajał, gdy była zdenerwowana.

W połowie marca 1972 roku po krótkim porodzie na świat przyszła tryskająca zdrowiem dziewczynka.

Dziewczynka.

Raymond nie był przygotowany na taką ewentualność. Żywił głębokie, niczym nieuzasadnione przeświadczenie, że będzie miał samych synów.

Muriel natomiast przepełniała głęboka radość. Była pewna, że Raya niebawem urzecznie urok córeczki, jej długie, ciemne loki, i nie będzie snuł idiotycznych marzeń o wysłaniu małej do Yale, gdy jeszcze nosi pampersy.

Nie pomyliła się. Raymond polubił swą córeczkę o bystrym spojrzeniu, której dali imię Isabel po jego matce. Muriel spędziła wiele szczęśliwych godzin na czytaniu uroczej, żywej dziewczynce najrozmaitszych opowieści. Mała wydawała się zafascynowana słowami i szybko je sobie przyswajała.

Z początku Raymond nie zdawał sobie sprawy, że nawet gdy Isabel bawiła się w ogrodzie z innymi dziećmi, których wypowiedzi ograniczały się do jednosylabowych dźwięków, ona mówiła całymi zdaniem.

Ale najbardziej zadziwiające odkrycie miało dopiero nadejść.

Gdy Muriel sprzątała różnobarwne pozostałości po trzecich urodzinach córeczki, ścierając resztki lodów z dywanika i zeskrobując odcisniętą na ścianie galaretkę, usłyszała cieni, dźwięczny głosik:

— Babar próbuje czytać, ale nie może się skupić, myślami jest gdzie indziej. Usiłuje pisać, lecz jego umysł znowu gdzieś błądzi. Babar myśli o swej żonie i dziecku, które się wkrótce narodzi. Czy będzie ładne i silne? O, jakże ciężko jest czekać na to, czego serce pożąda!

Nigdy nie czytała Isabel tej opowiadki. Najwyraźniej córeczka po prostu rozpakowała urodzinowy prezent i postanowiła sama zgłębić jego treść.

Z początku Muriel osłupiała, nie wiedząc, co robić. A choć nie miała zbyt ochoty zwracać uwagi męża na to zadziwiające wydarzenie, potrzebowała potwierdzenia, że nie jest ono wytworem jej wyobraźni.

Cicho wysunęła się z pokoju i zawołała Raymonda. Teraz oboje rodzice stanęli jak oniemiały w drzwiach, patrząc, jak ich mała, śliczna córeczka — której kontakt z alfabetem ograniczał się poprzednio do oglądania *Ulicy Sezamkowej* — bezbłędnie recytuje z książki, którą dorośli mieli czytać dla rozrywki swoim dzieciom.

— Kiedy ona zdążyła się tego wszystkiego nauczyć? — spytała Muriel, tym razem dzielając uniesienie męża.

Raymond nie odpowiedział. Nie orientował się jeszcze, jak bystra jest jego córka.

Lecz, nie szczędząc sił, postanowił się dowiedzieć.

3

Sandy

T I M E

N A U K A

ARTYKUŁ TYGODNIA

Odkrywca leku przeciw śmierci

**Największy przełom w walce z rakiem
podczas tego dziesięciolecia**

„Jako dziecko mieszkałem w Bronksie. Byłem wówczas klasycznym przykładem szczeniaka, którym wszyscy pomiatają”.

Teraz już nikt nie pomiata tym człowiekiem.

Uznany autorytet w nowej dziedzinie wiedzy — inżynierii genetycznej — profesor Sandy Raven już wszedł do historii, jako pierwszy uzyskując zgodę władz federalnych na przeprowadzenie eksperymentów mających doprowadzić do odwrócenia procesu starzenia się.

Profesor, który stosunkowo niedawno ukończył czterdzieści lat, ma przed sobą jeszcze wiele pracy. Jego dotych-

czasowy dorobek stanowi poważny wkład w badania nad możliwością przedłużenia ludzkiego życia, a także leczenia chorób dotychczas nieodwoalnie prowadzących do zgonu pacjenta. Zajmuje się również problemem regeneracji obumierających tkanek u pacjentów cierpiących na dystrofię mięśni oraz na chorobę Alzheimera.

Raven jest laureatem licznych nagród, powszechnie uważa się go za poważnego kandydata do tegorocznej Nagrody Nobla — chyba że szacowne gremium w Sztokholmie dojdzie do wniosku, iż blisko miliardowy majątek profesora stanowi wystarczające zadośćuczynienie.

Pod wieloma względami przypomina Billa Gatesa, innego niezwykłego geniusza i zarazem magnata finansowego (patrz „Time”, 16 kwietnia 1984 r.), który porzucił naukę w college'u i założył Microsoft Corporation, obecnie gigantyczną firmę komputerową, dzięki czemu stał się jednym z najbogatszych ludzi na świecie.

Raven prowadzi dość ekscentryczny tryb życia. Jego macierzystą uczelnią jest Kalifornijski Instytut Technologii, gdzie wykłada mikrobiologię oraz sprawuje funkcję dyrektora Instytutu Gerontologii. Profesor ma do dyspozycji dwupiętrowe laboratorium o powierzchni tysiąca sześciuset metrów kwadratowych, mieszczące się w najwyższym budynku uczelni. Woli jednak prowadzić swe badania w specjalnej pracowni, którą sam zaprojektował. Znajduje się ona w obejmującej siedemnaście akrów, otoczonej murem posiadłości uczonego w pobliżu Santa Barbara.

Raven fanatycznie strzeże swego prywatnego życia przed wścibskim okiem ciekawskich. Tereny wokół jego luksusowej rezydencji dwadzieścia cztery godziny na dobę patroluje nieujawniona liczba strażników. Te nadzwyczajne środki ostrożności po części można przypisać olbrzymiej wartości handlowej rezultatów jego badań, lecz wtajemniczeni utrzymują, że wielki uczyony, który twierdzi, że „człowiekiem mu najbliższym jest własny ojciec”, broni dostępu do siebie z przyczyn natury osobistej.

A jednak podczas rzadkich wystąpień publicznych sprawia wrażenie osoby przystępnej i dobronudusznej. Z ujmującą skromnością opisuje niezbyt pomyślne początki swej zawo-

dowej działalności: „Podobnie jak jedna z teorii naukowych dotyczących początków świata, moja kariera rozpoczęła się od wielkiego wybuchu”. Jako jedenastoletni chłopiec usiłował uzyskać wodór i tlen poprzez elektrolizę wody. „Niestety — wspomina z pełnym zakłopotaniem uśmiechem — pomyliłem się o jedną cząsteczkę i omal nie wysadziłem w powietrze kuchni rodziców”.

W życiu Ravena doszło do jeszcze jednej eksplozji, która spowodowała u niego daleko poważniejsze urazy. Psychologowie stwierdzili, że wielu ludzi o najbardziej twórczych umysłach w dzieciństwie cierpiało z powodu braku rodzicielskiej miłości — klasycznym tego przykładem jest sir Isaac Newton porzucony tuż po urodzeniu. Raven pasuje do tego wzorca. Wspomina, że jego jedyną rozrywkę podczas studiów naukowych stanowiło „snucie marzeń na jawie”.

Jako jedyne dziecko Pauline i Sidneya Ravenów, mocno przeżył rozwód rodziców tuż po rozpoczęciu nauki w Szkole Nauk Ścisłych w Bronksie. Niedługo potem jego matka poślubiła zamożnego jubilera i zrzekła się opieki nad synem.

Sandy mógł zamieszkać z ojcem, który przeprowadził się do Los Angeles, lecz chłopiec był zdecydowany ukończyć szkołę w Bronksie, toteż resztę dzieciństwa spędził w otoczeniu niechętnych sobie krewnych.

Raven senior, którego nazwisko może być znane miłośnikom kina, gdyż jest on producentem kultowego filmu *Godzilla i Herkules*, rozpoczął karierę jako kierownik kina Grand należącego do Marcusa Loewa.

I tak ze swego wczesnego dzieciństwa Sandy najmilej wspomina sobotnie popołudnia, które spędzał z ojcem „chrupiąc niezliczone ilości prażonej kukurydzy” i patrząc, jak Burt Lancaster toczy pojedynki z bandytami, a Gene Kelly skacze przez hydranty i śpiewa deszczową piosenkę.

W ostatniej klasie Sandy wymyślił sposób przenoszenia genów u muszek owocówek, dzięki czemu uzyskał stypendium Westinghouse'a do MIT. Gdy pracował nad doktorem, świat naukowy rozpoczynał pierwsze eksperymenty na organizmach ludzkich.

Kiedy Sandy dorastał, inżynieria genetyczna nie istniała jako dyscyplina naukowa, choć niektóre jej techniki używane

w hodowli zbóż i bydła stosuje się od tysiącleci. Obecnie „nowi farmerzy” noszą białe fartuchy i pracują w laboratoriach.

Raven, który spędził w MIT dwanaście lat, mógł bezpośrednio obserwować rozwój tych pionierskich badań, pracując pod kierunkiem profesora Gregory’ego Morgensterna, laureata Nagrody Nobla z 1983 roku, przyznanej za odkrycia dotyczące raka wątroby.

W tym okresie Raven poślubił córkę Morgensterna, Judy. Małżeństwo, którego owocem była córka, zakończyło się rozwodem. Doktor Raven zachowuje uporczywe milczenie na ten temat.

Gdy ukończył trzydzieści dwa lata, zaproponowano mu stanowisko profesora w Kalifornijskim Instytucie Technologii w Pasadenie, gdzie zaczął kompletować zespół, mający zająć się nową dziedziną badań — walką ze starzeniem się.

Raven nie jest pierwszym gladiatorem na tej arenie. W ostatnich latach genetycy na całym świecie poczynili niewyobrażalne postępy, by sprostać temu bezsprzecznie największemu i najtrudniejszemu zarazem wyzwaniu, rzuceniu ludzkości.

W przeciwieństwie do pewnych chorób, które można precyzyjnie przyporządkować określonym miejscom konkretnego chromosomu, na proces starzenia się wywiera wpływ przynajmniej setka różnych punktów ludzkiego genomu — kompletu genów danego osobnika.

Za punkt wyjścia do badań Ravenowi posłużyło parę ważnych odkryć. Pracujący w Państwowym Instytucie Zdrowia doktor Carl Barrett wyodrębnił w chromosomie 1 obszar odpowiedzialny za długość życia. Drugi taki obszar doktorzy James Smith i Olivia Pereira-Smith z Baylor wytropili w chromosomie 4.

Pierwszy przełom w dociekaniach Ravena nastąpił wówczas, gdy wydzielił on zespół genów powodujących zwyrodnienie komórek skóry. W serii eksperymentów udało mu się, przynajmniej czasowo, odwrócić ten proces. Wyłącznie jemu należy przypisać zasługę „unieśmiertelnienia” niektórych genetycznych składników odmładzania skóry.

Media nazwały to odkryciem „Ponce de Leon”. Słyszac

to określenie, Raven dostaje gęziej skórki, choć dzięki niemu, niczym ów hiszpański podróżnik i poszukiwacz przygód, zyskał niezwykłą popularność. Prasa obtrąbiła, że za jego sprawą ziściło się największe hollywoodzkie marzenie: powstanie preparatu, który zapewnia wieczną młodość.

Raven ogłosił swe odkrycie w wysoce specjalistycznym artykule, zamieszczonym w akademickim piśmie „Gerontologia Eksperymentalna”. Mimo to jego biochemiczne formułki błyskawicznie przetłumaczono na zrozumiałe dla laików nagłówki gazet, a agencje prasowe rozprzestrzeniły je na cały świat.

Reakcja była elektryzująca. Uniwersytecka centrala telefoniczna została niemal zablokowana. Poczta przywoziła do laboratorium Ravena wory listów. O dziwo, cała ta wrzawa podziałała na uczonego niezwykle przygnębiająco.

„Zamiast dumy miałem poczucie winy, że osiągnąłem zbyt mało. I nie chodzi tylko o kobiety pragnące pozbyć się zmarszczek. Większość listów zawierała błagania o pomoc tych, którzy niesłusznie założyli, że potrafię leczyć wszelkie uszkodzenia tkanki miękkiej. Zaklinali mnie, bym ratował życie ich najbliższych, a ja doznawałem uczucia straszliwej bezradności i — tak jest — porażki”.

Uczony ten odznacza się zarówno wrażliwością, jak i pokorą.

A jednak, choć odczuwa niedosyt, to przygotował grunt dla rozwoju procesów genetycznych, które mogłyby zwyciężyć wiele zabójczych chorób.

Raven nadal z niechęcią przyjmuje miano bohatera, po rycersku pragnąc kryć się w cieniu. Ze swojej sławy i popularności żartuje z typową dla siebie ironią:

„Spójrzmy prawdzie w oczy, mam tyle uroku co rozmokły bajgiel. Skoro trafiłem na okładkę «Time'a», to znaczy, że świat opanowują odpychające zera”.

Inne znakomitości w tej dziedzinie wiedzy odnoszą się do niego z większym szacunkiem.

„Osiągnięcie Sandy'ego jest prawdopodobnie największym sukcesem, jaki podczas ostatniego dziesięciolecia odniesiono w walce z rakiem — powiada jego wielbiciel i były teść, Gregory Morgenstern z MIT. — Znacznie prze-

wyższa cały mój dorobek. Sandy zasługuje na wszelkie honory, chwałę — i pieniądze — które bez wątpienia staną się jego udziałem”.

— Jezu, tato, widziałeś, jak zakończyli ten artykuł? — wściekał się Sandy.

— Tak, synku — mruknął z zakłopotaniem starszy mężczyzna. — To zupełnie normalne, że w takim artykule opisują całą twoją karierę i rozmawiają z ludźmi, którzy cię znali. W końcu Morgenstern zgarnął główną wygraną. Skąd, do diabła, mogli wiedzieć, że coś śmierdzi? Właściwie teraz miałeś okazję, żeby im to powiedzieć.

— I co by mi z tego przyszło? Poza tym żywiłem nadzieję, że sami do tego dojdą. Z tego widać, że nawet prasa nie do wszystkiego potrafi się dokopać.

— Słuchaj, mogło być gorzej.

— Jeszcze?

— Weź pod uwagę, że mogli wspomnieć Rochelle.

— Masz rację — przyznał Sandy. — Dzięki Bogu, że na tym się skończyło.